

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 2 ruble (za odosłanie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 2 ruble 25 kop.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 1 rub.; na 1 stronie okładki 60 kop.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 30 kop.; na 3-ej stronie okładki i ogłoszenia zwykłe 25 kop.; Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadstane po 75 kop. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rub., przy Nadstaniach 8 rub.; na ostatniej stronie 7 rub. i wewnątrz 6 rub. Artykuły reklamowe 175 rubli za stronę.

ŚWIAT

Rok XII. № 6 z dnia 10 lutego 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego



TOW. AKC.

OKRYCIA
KOSTYMY
SUKNIE
BLUZKI

BRACIA JABŁKOWSCY

MATERJAŁY

WEŁNY,
Bawełny,
JEDWABIE

BIELIZNA

DAMSKA,
ME-SKA
DZIECIĘCA

WYPRawy ŚLUBNE

OD 300 RP

OBUWIE
DAMSKIE
i DZIECIĘCE

SUKNIENKI DLA PANIEK — UBRANKA DLA CHŁOPCÓW

10218

Źródła do konstytucji polskiej.

Rada stanu wybrała Komisję konstytucyjną, która pracować będzie pod przewodnictwem samego marszałka koronnego i składa się z 24 członków, w połowie radców stanu, w połowie profesorów uniwersytetów polskich i prawników. Będzie miała wielkie zadanie. Ułoży ona projekt konstytucji polskiej. Będzie to Wielka Komisja.

Jej ogólne zadania są proste i wyraźne. Doświadczenia przeszłości polskiej z jednej strony, rezultaty prac państw kwitujących z drugiej strony dadzą jej dostateczną ilość substancji do uświadomienia sobie celów, ugruntowania podstaw, ułożenia paragrafów.

Streścimy zadania ogólne w trzech zdaniach:

*Królowi urok,
rządowi władza,
narodowi wolność.*

Oto do czego zmierzać mają paragrafy Konstytucji polskiej.

I dwa źródła do Konstytucji polskiej wskazać nader łatwo:

pierwszem jest prawo polityczne polskie, zwłaszcza ostatnie konstytucyjne, jakie życie publiczne polskie kształtowały;

drugiem prawo polityczne Zachodu nowożytnie.

Jest skąd czerpać. I choć zadanie nie jest wielkie; doniosłości ogrom-

nej, choć do niego wybrano komisję liczną i uroczystą, nie jest ono do zbytku trudnem. Pozwoliłbym sobie nazwać je najmniej trudnem z wielkich zadań, jakie stanęły na przodku naszego życia narodowego.

Naprzód uwag parę o pierwszym z tych źródeł. O polskim, o historycznym źródle. Prawo polityczne polskie zostało zsyntetyzowane w dniu 3 maja 1792 r. Dokonano wtedy reformy, „naprawy Rzeczypospolitej”, o którą w ciągu lat dwustu nie przestali ani na chwilę uczciwi ludzie wołać. Zniesiono szkodliwe polskie wynalazki czy naśladownictwa: wolną elekcyę, liberum veto, mandaty imperatywne, wyłączność stanową, wprowadzono tron dziedziczny, głosowanie większością, swobodę posłów, przypuszczono do sejmu mieszczan. Myśl polityczna polska wzniosła się tu wysoko i dokonała dzieła zaszczytnego, na wzór innym, zasady porządku jednocząc w swem politycznym prawie z gwarancjami wolności. Zresztą myśl tylko, nie wola jeszcze. Jeżeli trzeba było koniecznie, jak to Fredro Maksymilian mówił, pożaru, aby z pewnych zarażeń domostwo oczyścić, to pożar 1772 r. nie był dość gruntownym ogniem puryfikacyjnym. W ciągu ostatniego roku Sejmu Wielkiego walczone i nadal z królem, uważając go za głównego wroga narodu przez samo jego stanowisko ho-

norowe. Zresztą powstała Targowica.

Ale pożar przyszedł. Jaki pożar! Wprost popielisko jedno zostało na miejscu, gdzie potężna i dumna Rzeczpospolita się rozciągała. Tylko że to Feniks się palił.

Dziś jesteśmy oczyszczeni. Nie można wątpić, że pójdzie „narod z królem — król z narodem”. Konstytucja polska z czynników obu uczyni całość. Życie stopi tę całość w jedność.

Wątpić nie można, że pierwsze myśli Komisji konstytucyjnej zwróciły się do wielkiego aktu 3 maja.

Natomiast z dwóch innych konstytucji polskich ubiegłego stulecia nie wiele będzie do zaczerpnięcia, ani do uszanowania. Konstytucja napoleońska 1807 r. jest dziełem „człowieka, który nie rozumiał narodu i którego naród nie rozumiał”. Podyktowana w ciągu godziny w Dreźnie, bez poradzenia się Polaków, dana bez pytania o ich przyzwolenie, napełniona iluzyjnymi wolnościami, była dziełem racjonalistycznym, abstrakcyjnym, teorią prostą, budową wież bez fundamentów. Nie uwzględniała ona samorządu lokalnego, który Konstytucja 3 maja uregulowała, a grodzieńskie nowe prawo miejskie uszanowała.

I ten brak krzyczący, ta cecha jakobinizmu napoleońskiego, nie zostały wypełnione, ani naprawione przez konstytucję aleksandrowską. Jeszcze napoleońska konstytucja dawała możliwość jakiejś, na nowo krzesanej choć z trudem samorządności.

Konstytucja 1815 r. o prawie samorządnym przemilcza. To też nędzny człowiek, niedostatecznie przez polską publicystykę napiętnowany, który na stolcu namiestnikowym wówczas zasiadł, niemal że rozpoczął swoje rządy od zburzenia samorządności polskiej.

Nowożytne prawo polityczne jest bardzo bogato opracowanym dziełem myśli ludzkiej, twórczej i krytycznej. Postuluje ono pewne aksjomaty polityczne, dla wcielenia których w praktykę prawnicy są zmuszeni czynić swoje wysiłki. Są w tem prawie z góry, przez cały rozwój historii narzucone konkluzje, które trzeba, przy pomocy artykułów konstytucyjnych, zgodzić z realnością politycznego życia. Te aksjomaty, których dziś dowodzić nie potrzeba, to właśnie zadania, jakie staną przed Komisją Wielką:

Królowi urok,
rządowi władza,
narodowi wolność.

Doświadczenie mówi jednak, że niema uroku bez władzy, i niema wolności bez porządku. I w ten sposób te trzy elementy i te trzy zasady politycznego życia nowożytnego winny się przenikać, wiązać, wzajemnie ożywiać. To ostatnie uczynić pomyślnie — jest to właśnie napisać konstytucję.

Co do króla naprzód. Urok istotny musi on sam sobie urobić. Konstytucja podaje mu tylko wiązkę promieni, z których można równie dobrze utworzyć świetlaną aureolę, jak i swądliwy fajerwerk. Król wybiera ministrów. Oto pierwszy element jego władzy, jako warunku uroku. Król prowadzi, pod odpowiedzialnością jednak ministrów i przy kontroli parlamentu, politykę zagraniczną. Oto element drugi. Król rządzi bezpośrednio w momentach krytycznych, zawsze zresztą nieodpowiedzialnie, gdy życie parlamentarne dozna zatrzymania na czas, nigdy dłuższy. To element trzeci. Wszystko to odnajdzie się w konstytucji polskiej.

Co do wolności dalej. Wiele trzeba było walk, tarć, nienawiści i rewolucji, aby nareszcie rządy nauczyły się wykonywać swoje rzemiosło przy obecności *parlamentu i wolnej prasy*. Jeszcze Napoleon III tego nie umiał i w niewoli swej w Wilhelmshöhe oświadczał, że to nawet jest niemożliwe. Jednocześnie jednakże Cavour i Bismarck dowodzili, że to jest możliwe, o czem w Anglii znacznie dawniej już wiadano.

Spółczesność nowożytna jest narodem zorganizowanym w państwo. W tym organicznym związku

jednak żaden z dwóch czynników nie traci swej istoty, ani swojego własnego celu. Istotą narodowego czynnika jest *wolność*, rządowego *reguła*; celem pierwszego *twórczość*, drugiego *porządek*. Organami pierwszego rząd i sąd, drugiego parlament i prasa.

Tych dwóch ostatnich „demiurgicznych” sił nie można opanować, ani stłumić. Trzeba z nimi współpracować. I zadaniem konstytucji polskiej będzie właśnie ustalenie porządku tej współpracy.

Zauważyć należy, iż jedna z tych sił, które są „demiurgiczne” (a więc więcej, niż ludzkie, mniej, niż boskie): prasa, o wiele jest plastyczniejszą, podatniejszą i obywatelsko karniejszą od parlamentu. Tylko bardzo niedołężnemu rządowi prasa robić może kłopot. Podczas gdy parlamenty są w stanie najlepszym i sprawnym rządom stawiać przeszkody i robić obstrukcje. Disraeli z tego powodu marzył o systemie rządów bez parlamentu a z wolną prasą. Przypomnijmy sobie choćby rządy Bismarcka, któremu sejm pruski przed Sadową odrzucił trzy czy cztery razy budżet. Albo Clemenceau, którego groźby zmusiły gabinet Freycineta do wyniesienia się Francji z Egiptu i oddania kanału sueskiego, dzieła francuskiego, w angielskie ręce. Przykładów by można cytować do jutra.

Oczywiście, mieć *dobry parlament* — jest to utopia, jako żądanie, postawione twórcom konstytucji. Dobry parlament stworzyć może nie rozważnie napisana karta, ale wyszkolony w mądrych instytucjach

naród. Parlament powinien być jedną z takich instytucji wychowawczych i już konstytucja cel swój spełni, gdy zakroi go tak, aby nie otwierał on na rozścież swoich podwoi dla karyerowiczów, mydlików i matolek, aby choć te elementy ograniczał i kępował.

Nowożytne prawo polityczne porobiło prawdziwe postępy w kierunku uzdrowotnienia życia parlamentarnego. I będą one z pewnością przedmiotem szczególnej troski Wielkiej Komisji. Jednym z takich wynalazków jest przedstawicielstwo proporcjonalne, głosowanie wielomandatowe, które już szczęśliwie wprowadzono do naszego municypalnego życia. Innym głosy pluralne, z powodzeniem spraktykowane w Belgii. Ten wynalazek ma na celu korekturę głosowania powszechnego, które, przy niskim stopniu ukształcenia mas, może obniżyć poziom politycznego życia. Trochę dawniejszym wynalazkiem, krańcowo demokratycznym, a może za mało w dzisiejszym życiu rozwiniętym, są plebiscyty i referenda. Podobno trudno niem operować w większych państwach. Mają one przecież znacznie edukacyjne bardzo potężne.

Dodajmy wkońcu, że parlamentarne zdrowie nie tylko od konstytucji i nie tylko od samego narodowego zdrowia politycznego zależy, ale też, w pewnej mierze, i od takiej drobnej rzeczy, jak regulamin parlamentarny. To też pierwszy sejm polski, konstytucyjny, mieć będzie decydujący wpływ na dłuższy okres naszego historycznego życia.

Wincenty Kosiakiewicz.

Na froncie wojennym.



Pobojowisko.



Młoda Polska.



Ulica w Paryżu.



Portret por. Wąsowicza.

Wystawa prac Jerzego Rupniewskiego.

Rozważając dobrze rozwój sztuki naszej, musimy przyjść do przekonania, że niektóre jej działy były stale przepełniane, inne zaś długo leżały odłogiem. Batalia i genre były od początków, od czasów Orłowskiego uprzywilejowanym polem popisu naszych malarzy. Oczarowani długie lata działalnością starego Kosaka, pół bez mała wieku nie wyruszyliśmy po za to „pole chwały”. Talent ogromny i w najwyższym stopniu swojski przykuł ku sobie społeczeństwo, a malarze ulegali tej atmosferze automatycznie. Stanowiło to zresztą kwestyę bycia lub nie. Dopiero z czasem, powoli, zaczęły się zjawiać inne „gatunki”. Zaczęły się mnożyć „nastroje” około 1870 roku, wreszcie poczęto malować dla malarstwa. Zjawili się tacy, jak Aleksander Gierzyński, bez przesądów, jak mówił o sobie sam. Poczęto przewartościowywać tworzywo malarzkie. Oko malarza zawisło nad bojem, nad strugą rzeczna, nad łanem złocącej się pszenicy, malowano zapachy ziemi, oddechy pól, gwary brzoź cmentarnych, poszumy olch nadwodnych, słowem, wniknęło głębiej w ziemię-matkę. Ukochały ją oczy naszych apellesów, ukochały podwójnie; wyczuli i podsłuchali, aby to wszystko, czem ona jest odmienną od każdej innej ziemi, od innej strefy, wyczarować na płótnie.

Tak powstał pejzaż polski. Dzieła Chełmońskiego miały tu ogromny i decydujący wpływ. Nauczyły wnikać w ducha tej ziemi; nauczyły ją kochać po malarsku, być jej wdzięcznym za tę ogromną różnorodność i tę nieprzebraną obfitość „zdarzeń malarzskich”. Wcale nie Włochy są najwięcej malownicze, mawiał Chełmoński, tylko nasza przyroda, i miał rację, przynajmniej w stosunku do nas samych.

Niemasz łatwiejszej rzeczy do malowania pobieżnie, jak pejzaż, i niema rzeczy trudniejszej do pokonania, jak właśnie subtelnie pojęty i wykonany widok natury.

*

*

*

Pierwszą swą wystawą zbiorową młody artysta, Jerzy Rupniewski, odrazu dobrze się zaprezentował naszej sztuce. Ta masa studyów z natury, te sumienne obserwacje przyrody są świadectwem, że mamy tu do czynienia z talentem malarskim istotnym, że przy dalszej pracy w tym kierunku malarz musi pójść dalej, słowem, że sztuce polskiej przybędzie artysta bardzo wybitny. Widzimy, że autor pilnie się przypatrywał, że śledził ruch rozwojowy naszego pejzażu, doskonale widać, gdzie czerpał naukę, ale umiał ją zużyć odpowiednio, zastosować do swego indywidualnego uosobienia.

Młode i najzdolniejsze nieraz jednostki bardzo często nie mogą znaleźć właściwej sobie drogi. Otóż

wszystko przemawia za tem, że Rupniewski ją już znalazł, jeśli rozwinie dalej też samą pasję do natury, jeśli zacznie podporządkowywać szczegóły ogółowi, wzmocni swą sztukę, uszlachetni ją jeszcze większą całością i dojdzie z czasem do osobistego wyrazu plastycznego, co jest zawsze najważniejszem i najtrudniejszem zadaniem malarza.

Z natury obdarzony wielką wrażliwością na przejawy barwne i świetne, poparty trafem odczuwaniem formy, musi w wyniku dać rzeczy zupełnie dobre.

Artysta widocznie przechodził i dobrą szkołę; widać to w paru portretach, które przerywając szeregi pejzaży, tworzą miłe plamy, urozmaicające całość ekspozycji. Do najlepszych należy znany już z poprzednich wystaw portret „muzyka”, oryginalny swym nastrojem swojskim, prostotą skojarzenia człowieka z otoczeniem. Artysta, wystawiając tak bogatą całość swego dorobku malarzkiego, dał nam możność robienia uogólnień. Widzimy, że pejzaż nasz jest obecnie najważniejszą i bodaj najplodniejszą częścią naszej sztuki. Bez Chełmońskich, Szerementowskich i w małej części Stanisławskiego, ten stan byłby nie do pomyślenia. Ziarno, zasiane genialnymi dłońmi poprzedników, wzrosło. Plon jest na dziś piękny, co raduje serce każdego sprawom sztuki polskiej oddanego człowieka.

Władysław Wankie.





Enver Pasza, turecki minister wojny, na ulicach Bukaresztu.



Oddział lotniczy niemiecki na froncie francuskim przy aparatach, które już z oddali zwiastują aeroplany nieprzyjacielskie.

Pani de Thébés.

Niezwykłą swoją sławę zawdzięczała p. de Thébés, znana paryska wróżbitka, horoskopowi wojny bałkańskiej. Posta-
wiła go na rok wcześniej, publikując w swoim „Almanachu”. Od tej pory „Almanachy” pani de Thébés co rok wycze-
kiwane były z zainteresowaniem nie tylko w Paryżu. Pani de Thébés przewidziała też wybór Poincarégo na prezydenta Francji. Ostatnia jej przedśmiertna wróżba dotyczy pokoju: rok 1917 ma do-
prowadzić ludzkość do upragnionego celu. Pani de Thébés narodowi polskiemu wró-
żyła perspektywy jasnej przyszłości.

Kim była pani de Thébés? Prawdzi-
we jej nazwisko brzmi: Anna Victoria de Savigny. Wziętość w Paryżu miała o-
gromną. Arystokracja, finanse i sztuki
piękne przepadały za wróżbami modnej
kabalarki. W sprawach serca p. de
Thébés posiadała, podobno, niezwykłą
intuicję.

W Paryżu jednak łatwo o konkuren-
cję. Szczególnie pani Desbarrolles i p.
Conoedon szły w zapasy o lepsze z wró-
żbami mistrzyni odgadywania. Na po-
czątku wojny udało się jednak p. de
Thébés usunąć rywalki. Zabroniono we
Francji wróżyc. Tylko p. de Thébés
wyjęto po za przepis. Brak konkurencji
źle jednak wpłynął na dar jasnowidzenia:
od tej pory wszystkie jej wróżby poli-

tyczne zawodziły. Ministeryum wojny i
panią de Thébés użyło do podniesienia
ducha we Francji. Złośliwie o fakcie
tym informował „l'homme enchainé” ty-
grysa Clemenceau.

Niech jednak nie smuć się warszaw-
scy wielbiciele p. de Thébés jej śmiercią.
Jest to, podobno, rzecz niesprawdzona.
Chodziło tylko o naprawę reputacji wró-
żbiarskiej. Umarł tylko pseudonim. Zbyt
się zaawansował w różne polityczne
przepowiednie, a więc trzeba znaleźć in-
ny i ten znów odpowiednio zareklamow-
wać. Jak się to robi we Francji — wie
z doświadczenia pani de Savigny. Na
rok więc przyszył będziemy mieli nowy
Almanach tylko pod innym kryptonimem.
Ludzie przecież lubią miłe wróżby. **F.**



Wróżbitka francuska, p. de Thébés.

Kuchnia akademicka rolników.



Dzięki pomocy Koła Ziemianek „Bratnia Pomoc” Koła Rolników przy Wyższej Szkole Rol-
niczej zyskała świeżo zorganizowana kuchnia akademicka (Świętokrzyska 13). Na po-
święceniu obecni byli: główny opiekun Szkoły p. Władysław Kiślański i przedstawiciele
Ziemianek z Maryą Rodziewiczówną na czele.
Fot. Maryan Fuks.

I-szy Zjazd polskich lekarzy wojskowych w Warszawie.

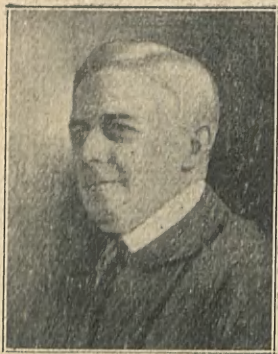


Lekarze zebrani na „Czarnej kawi” w sali Kolumnowej magistratu st. m. Warszawy. Honory domu pełnili pp.: burmistrz: Drzewiecki i Chmielewski, dr. Zawadzki i mec. Suligowski. Fot. Maryan Fuks.

Jubileusz cechów w Łowiczu.



W Łowiczu z inicjatywy starszego cechu rzeźniczego, p. Jana Bursy, urządzony był obchód 100-letniego jubileuszu cechów. W kościele S-go Ducha ks. kanonik Jan Niemira, po odprawieniu solennej wotywy, w treściwym przemówieniu przedstawił historię cechów i rzemiosł w Polsce, stanowisko ich względem kościoła oraz zaznaczył, że cechy i rzemiosła były szczególniejszą odczaną opieką przez wszystkich księży kościoła. Wszystkie cechy były obecne ze sztandarami. Tegoż dnia o godz. 4 w sali Związku Robotników Chrześcijańskich odbyło się zebranie, na którym b. prezes resursy rzemieślniczej, K. Rybacki, mówił o podniesieniu rzemiosł i stanu rzemieślniczego w miastach, zaś starszy, p. Jan Bursa, o stanie rzemiosł w dawnej Polsce, o obyczajach i stosunkach panujących w cechach i urzędach starszych. Fot. W. Stasiński.



LANSING, sekretarz spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, któremu wystąpi Niemcy notę o blokadzie Anglii. Nota ta spowodowała zerwanie stosunków dyplomatycznych.



GERARD, ambasador amerykański w Berlinie, zażądał paszportu uwierzytelniającego dla siebie i wszystkich przedstawicieli konsularnych.



BERNSTORF, ambasador niemiecki w Waszyngtonie, któremu po wręczeniu noty o blokadzie zwrócono paszport dyplomatyczny.



OSK. SZELLER, znany sportsman, członek i założyciel Warszaw. Tow. Wioślarskiego, został wybrany na stanowisko prezesa tej wysoce sympatycznej instytucji.



Dr. W. OSMÓLSKI, znany lekarz warszawski, działacz społeczny, został wybrany na stanowisko wice-prezesa Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego.

Teatry warszawskie.

TEATR ROZMAITOŚCI „Przed ślubem”, K. Zalewskiego. TEATR POLSKI „Laleczka z saskiej porcelany”, M. Gerson-Dąbrowskiej. TEATR MAŁY „Georgetta i Gilberta”, Coolusa. TEATR PRASKI „Rezerwistka”, M. Kromer-Halnickiej.

Kierownictwo Teatru Rozmaitości przypomniało Warszawie sześciobrazową komedię Kazimierza Zalewskiego „Przed ślubem”. Komedia ta cieszyła się ongiś wielkim powodzeniem i była pierwszą kasową sztuką popularnego później autora, która zjednała mu nawet łaskawsze względy purytańskiego-pozytywistycznej krytyki. Piotr Chmielowski ocenił ją ze zwykłym sobie namaszczeniem: „Nie dowodzi komedia ta głębokiej znajomości umysłu i serca człowieka, ale okazuje niepopolitą zręczność sceniczną”. Dziś w promieniu lat 40 zgórą ta „zręczność sceniczna” jest już szanowaną przeszłością. Posiada dla smakosza literackiego patynę czasu cenną i dla tej choćby patyny jest interesująca. A bajka sceniczna? Każda fabuła umiejętnie przeprowadzona dla słuchacza ma jednak wartość. Przez sześć obrazów rozwija się historia o pięknej pannie Helenie, którą gwałtem chcą wydać za bogatego, choć ułomnego jegomościa. Szkolę odnalazł autor w tem, że ten ułomny a bogaty starszy pan jest idealistą. On zrozumie serce ślicznej panny Heleny i odnajdzie dla niej jej właściwe ujęcie. Połączy ją z malarzem Uszyńskim i znajdzie sposób, jak należy przekonać przetrzoną o szczęście Heleny rodzinę. Rodzinka ta jest arcysympatyczna: mamusia z morałem na ustach i żądzą złota w sercu, a wujaszek tchórz i też chciwiec na pieniądze. Z rachunków spadkowych nie umiałby się wyliczyć Helenie — pragnie więc dla niej też szczęścia gotówkowego. O rękę Heleny zabiega również

p. Klapkiewicz, charakterystyczna szlagońska figura. Na scenie w perypetyach zobaczymy, jak tego pana Klapkiewicza pokona p. August Nowowiejski i wygra za ręką Heleny. Zręca on jednak dla Heleny — by... w przyszłości oddać swą rękę... malarzowi Uszyńskiemu.

K. Zalewski berło zwycięstwa oddał idealizacji, młodości i miłości. Wydrwił świat pogoni za złotem, wykpił fałszywy



Kazimierz Zalewski

szych trosk rodzinnych o szczęście Heleny. Krytyka z przed lat czterdziestu szukała w tej sztuce romantycznych koturnów lub pozytywistycznej tezy. W. Bogusławski patrzył na scenę przez okulary idealistycznej doktryny zresztą milej, lecz wpływ jego do dziś pokutuje w sądach o Zalewskim. Czas z tem skończyć! Tradycja zobowiązuje, gdy przechwuje piękno i przekazuje jego urok. Wzrok Chmielowskiego i Bogusławskie-

go niech więc nas myli w sądach. Zalewski swoim czasem i swoim specyficznym wdziękiem. Należy tylko nie żądać od niego, by stapał na szczudłach zbyt idealnych pragnień doktrynerów. W komedii jego przechował się człowiek żywy z przed lat czterdziestu i dlatego praca jego należy do ogólnego naszego dorobku kulturalnego. „Przed ślubem” grano składowo. Na czoło wykonawców wysunął się Klapkiewicz, w interpretacji Frenkla. Trudną, reżnerską postać Nowowiejskiego obronną ręką osłonił p. Junosza-Stępowski. Śliczną Helenę z wdziękiem zagrała p. J. Szyling. Wystawa i kostiumy nie we wszystkim zostały stylowo szarmonizowane z epoką.

Dla naszych najserdeczniejszych a kochanych Janków i Zoś wystawił Teatr Polski „Laleczkę z saskiej porcelany” p. Maryi Gerson-Dąbrowskiej. Jest to historia czarownej nocy majowej w pokoju dzieciennym, opowiedziana przez cztery odsłony. W noc majową lalki, niedźwiedzie, zabawki ożyły. Poszły do lasu, do pałacu i powróciły, gdy kogut zapiał, na swoje miejsca. Barwna ta wędrówka szczerze bawi małych słuchaczy. Mój przyjaciel sześciolatek Stęf orzekł: to jest czarujące. Czyż sąd ten nie jest miarodajnym? Artyści grali z zamiłowaniem, chcąc uraczyć swoich drogich a miłych, małych słuchaczy. Brawa rozlegały się obficie i zasłużone. Wystawa bardzo staranna.

Pani Mary Mrozińska obecnie w Teatrze Małym czaruje swoim wdziękiem, grając na raz aż dwie role tytułowe „Georgetta i Gilberta” w sztuce Coolusa. O sztuce nie wiele powiedzieć można. Słucha się jej jednak z przyjemnością, gdyż tytułowe role gra p. Mrozińska. Jest to bowiem zupełnie obojętne, czy Georgetta będzie kochanką barona, czy tej Gilberta zostanie jego żoną. Barona poprawnie pokazał na scenie p. Kindler. Wystawa nie raziła.

Wydział Wykonawczy Tymczasowej Rady Stanu.



J. PIŁSUDSKI, referat wojny.



S. DZIERŻICKI, referat skarbu.



Hr. ROSTWOROWSKI, referat spraw polityczn.



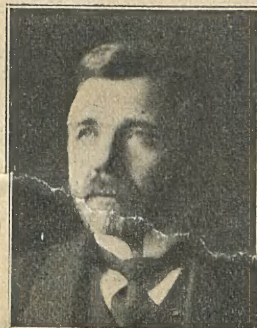
M. ŁEMPICKI, referat spraw wewnętrznych.



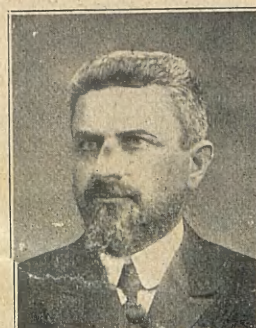
S. JANICKI, referat gospodarstwa społeczn.



W. KUNOWSKI, referat pracy.



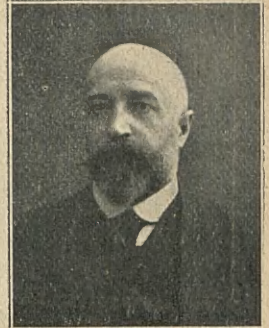
S. BUKOWIECKI, referat sprawiedliwości.



J. POMORSKI, referat wyznań i oświecenia publicznego.



WACŁAW MAKOWSKI szef kancelaryi departamentu sprawiedliwości.



F. TUROWICZ, szef kancelaryi departamentu do spraw prasy.

Teatr Praski wystawił znów oryginalną czteroaktową sztukę p. M. Kromer-Halnickiej p. t. „Rezerwistka”. Należy policzyć to kierownictwu za zasługę, gdyż powinno się autorem polskim dać jaknajszerszą możliwość widzenia swoich sztuk na scenie. Tylko w ten sposób można współdziałać w rozwoju talentów pisarskich. Sztuka p. Halnickiej jest udatną próbą rodzajowego malowidła scenicznego. Obraca się w świecie nędzy

rzemieśniczej i pokazuje smutną dolę rezerwistki. Została p. Wątorowa z dwójkiem dzieci. Co ma robić? Jest piękna, młoda. Wszyscy mężczyźni do niej się garną. Uległa wdziękowi Józka. Ten rzucił ją dla innej. Z rozpaczony otruje się Wątorowa.

Artyści grali w miarę sił i zdolności. Postać tytułową z wdziękiem wykonała p. Gzylewska.

Eust. Czekalski.

Z Muzyki.



MEYERNHOLD, którego kompozycje na koncercie w sali Hermana i Grossmana wywołały zainteresowanie wśród publiczności i świata muzycznego.



ST. MALINOWSKI, młody, utalentowany kompozytor, którego pieśni odtworzone na koncercie w sali Hermana i Grossmana wywołały wśród krytyki i publiczności żywe uznanie.



JANINA SZYMULSKA uczennica p. Comte-Wilgockiej, z powodzeniem śpiewała na koncercie w Filharmonii.

Co nam Rosja dała i co nam wzięła?

P. St. Koszutski wygłosił w Filharmonii odczyt na temat: „Co nam Rosja dała i co nam wzięła?”. Obecnie odczyt ten został przez p. Koszutskiego wydany w opracowaniu książkowym, z dopisem w podtytuł: „Obraz historyczno-polityczny”. Książka ta zasługuje ze wszelkimi na poznanie. Wyliczono w niej systematycznie, w pragmatycznym porządku stulecie rządów przemocy rosyjskiej. P. Koszutski zestawienie faktów kończy konkluzją: „Jest tajemnicą może już bliższej przyszłości, w jakich ostatecznie formach ukształtują się stosunki polityczne na ziemiach Polski. Ale cokolwiek bądź się dalej stanie, jedno już wiemy: zmora 100-letniego panowania rosyjskiego już odeszła. Niechajże losy wojny pozwolą, aby już więcej nie powróciła”.

Książka p. Koszutskiego zainteresuje napewno szerokie koła czytelników. Jako zestawienie faktów może też służyć za kompendium podręczne dla publicystyki.

ISTNIEJĄCE OD 1805 ROKU
Zakłady Ogrodnicze
C. ULRICH
Warszawa, Ceglana № 11,
zawiadamiają, że wyszedł z druku
Cennik nasion na rok 1917
i na żądanie rozsyłany jest bezpłatnie.

Pierwsza odtwórczyni „Halki”.

Moniuszkowska „Halka” stała się tak drogą, że każdy szczegół z historii jej powstania jest nam bliskim i ciekawym. „Halka” Moniuszki otworzyła historię naszej poważnej muzyki operowej. Melomani i muzycy polscy przechowują w pamięci pierwszych odtwórców jej ról, tworzy się żywa tradycja, jak należy kreować tę czy inną postać. Rola tytu-



Walerya Rostkowska.

(Portret pędzla prof. Kaniewskiego, z 189 r.).

lową po raz pierwszy śpiewała Walerya z Trzczańskich Rostkowska. Było to w roku 1854 dnia 16-go lutego. Rostkowska była wtedy w pełni rozwoju swego talentu śpiewackiego. Moniuszko specjalnie dla niej skomponował kilka arii. Muzyka polska zawdzięcza więc jej szczęśliwemu natchnieniu nie tylko żywą kreację Halki.

Pierwsza odtwórczyni Halki urodziła się w roku 1826 w Przybyszycach, ziemii łęczyckiej. Pierwsze lekcje śpiewu brała od prof. A. Korzeniowskiego. Quattrini uzupełnił jej wykształcenie muzyczne. W roku 1846 debiutowała w Teatrze Wielkim w operze „Norma”.

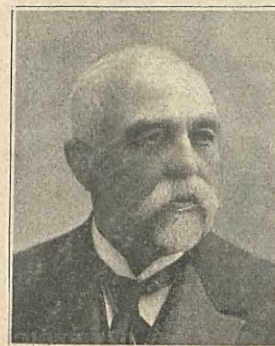
Dnia 24 stycznia r. b. zmarła w zapomnieniu w przytułku Św. Franciszka Salezego nasza pierwsza Halka. Pogrzeb odbył się ze składki publicznych. Pochowano ś. p. Waleryę z Trzczańskich Rostkowską na Powązkach.

PIERWSZORZĘDNA SZKOŁA
KROJU I SZYCIA
Wandy GOGOLSKIEJ
MISTRZYNI CECHOWEJ
BRACKA № 11.
Zapis, uczenie codziennie od 9 do 6.

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!
St. Krzywoszewski „ROZSTAJE”
KOMEDYA W 3-CH AKTACH.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Ś. p. Stanisław Montwiłł.

Obywatel ziemski gub. Kowieńskiej, właściciel dóbr Traszki, zmarł na Litwie 24 listopada, przeżywszy lat 74. Gorący patriota, weteran 63-go roku, służył pod Siemakowskim. Przestrzeloną miał pierś kulą nieprzyjacielską; w piersi tej zachował całe życie gorącą, niczem niewyziębioną miłość kraju, któremu służył niezmordowanie biorąc



czynny, próżnością nigdy nie splamiony, udział we wszystkich pracach, podejmowanych dla dobra Ojczyzny. Wzorny rolnik, pionier przemysłu krajowego, gorliwy opiekun przemysłu ludowego założył i długie lata prowadził szkołę tkactwa w Traszce i szkołę woli w Poniewieżu. Był współzałożycielem Towarzystwa Popierania Pracy Społecznej imienia Montwiłł; czynny brał też udział w filantropijnych pracach dawniej zmarłego brata swego Józefa. Prawości nieskazitelnej, bojownik prawdy, ś. p. Stanisław Montwiłł znany był ogólnie na Litwie, jako człowiek gotowy zawsze na usługi dla swych współbraci, dla potrzebujących miał hojną dłoń, a kochające i oddane dla swych bliskich serce. Serce to nie wytrzymało wojennej zawieruchy; legł nie doczekawszy dla umiłowanej swej Ojczyzny dni jaśniejszych. Niech to zbyt krótkie dla opisanja bogatego w czyny życia wspomnienie spadnie zamiast grudek tak kochanej przez niego ziemi litewskiej na tę świeżą mogiłę — i niech mu ta ojczysta ziemia lekką będzie!

10220.

Pamiętajcie o wpisach szkolnych.

Wszelkie ofiary przyjmuje Administracja „ŚWIATA” Zgoda № 1.

Diadem

Oryginalna tylko z napisem „Diadem” na banderoli Tow. „AUER”, Berlin.

Reprezentanci: **ALEKSANDER MOSZKOWSKI i S-ka, Inżynierowie,**
Warszawa, Sienna № 35.

10193

Mydłobor

w taflach funtowych.

Najnowszy wynalazek chemiczny prof. Felicjana Borysławskiego, zatwierdzony przez J. E. p. szefa Administracji przy J. G. Warszawskiem za № IV c. 10688.

Pierwszorzędny środek do prania bielizny, jedwabiu wełny i do mycia ciała, nie zawiera absolutnie szkodliwych substancji. Zadać we wszystkich pierwszorzędnych składach aptecznych i mydlarniach.

Reprezentant na ziemię Warszawską, Litwę i Wołyn
Br. Rydzewski, Marszałkowska 33.

Wielka oszczędność **Doniosły wynalazek**

Nie niszczy bielizny. **Sprzedaż: Marszałkowska 33, Wielka 41 m. 30, Biała 7 m. 8 i w Skradzie Apt. Wł. Różyckiego, Marszałkowska 82.** **Znakomicie myje ciało.**

10224

ZAKŁAD ARTYSTYCZNO - GRAWERSKI J. MICHROWSKIEGO
Marszałkowska № 127, wprost Moniuszki

Medale, żetony, herby, monogramy, faksymile, znaczki szkolne i korporacyjne. Pieczęcie metalowe do jaku i tuszu. Stemple kaucyjne i wszelkie roboty grawerskie.

Wykonanie artystyczne i bardzo dokładne.

10049

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 10 lutego 1917 roku

№ 6.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

16

Pani Polewska spojrzała na Zosię, nie powiadomioną o postanowionej degradacji pana Romana na tout court pana Rudnika, którego nawet do kart się już nie zaprasza.

Pobladała jej twarzyczka kasztelanki, litującej się nad „ubogim lecz szlachetnym młodzieńcem” — była wprost dziecinnie tragiczna.

— Zosiu! — uratowała sytuację matka — nie masz nic lepszego do roboty, jak zabrać z sobą osieroconą wskutek migreny panny Céleste Hala i udać się na spacer razem z panem Rudnikiem i z chłopcami.

— I owszem. Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu — przesadziła mimowol. w grzeczności kasztelanka.

Dość niezgrabny ukłon zgody i bardzo młodzieńcze zaplonienie policzków było jedyną odpowiedzią „ubogiego szlachetnego młodzieńca”, iż nie ma nic przeciwko temu.

Zaraz na skraj pierwszej alei hałaśliwe w połowie towarzystwo rozdzieliło się na dwie grupy.

Hala z Jankiem i Wackiem, jak wypuszczona sfora młodych psaków — poczęli harcować w jakichś skomplikowanych wyścigach, zakładach i grach, w które wlewali różnorodność swoich temperamentów, indywidualizujących przysłych dorosłych ludzi.

Rozpoczęły się pomiędzy nimi utarczki zdań, kłótnie, pogarda dla słabszej płci, pretensje i żale.

— Teraz ja będę złodziejem, a ty agentem policyjnym.

— Nie! Teraz ja będę złodziejem. Tyś był już raz złodziejem.

— Dobrze. Będę agentem policyjnym, ale ty musisz stać na tej samej mecie; nie tak, jak przedtem.

— A ja będę nożowcem.

— Janek wszystko widział. Jak mamę kocham.

— To nie idzie. Wybiegłaś z mety — świerkali, jak wróble.

— Nieprawda, nieprawda!

— Jak mamę najszczerzej kocham — broniła się zaperzona Hala. — To ty kłamiesz!

Młodzi opiekunowie, zajęci rozwijającą się rozmową — musieli co chwilę zziąjanych i jak koguty czerwonych strofować i doprowadzać do porządku postrachem powrotu do domu.

A stado rozpuszczonych wróbli po chwili ciszy — powracało do przetrwanego trzepotu:

— Teraz ja jestem złodziejem.

— Nieprawda, nieprawda. To nie idzie — protestowali przeciwnicy, przekonani, jak ludzie dorośli, że prawda i sprawiedliwość jest wyłącznie po ich własnej stronie.

— Nie bawię się z gburami, którzy spychają z drogi dziewczynki — monitowała ich obrażona Hala.

— Mówiłem ci, że z dziewczynami nigdy nie można dojść do ładu — aforyzował chwilowy nieprzyjaciel kobiet — Janek.

— A bo zły jesteś, że biegam lepiej od ciebie.

— No! To spróbujmy jeszcze raz na zgodę — rozciął kwestię sporną Wacek.

— Raz, dwa, trzy! — przebiegali pędem aleje, jak żrebaki.

Opiekunowie ich, sunący za nimi — poczęli uważać ich gwar jedynie za akompaniament do własnych słów i myśli.

Minęli już zabudowania dworskie i sunęli aleją podjazdową, będącą chlubą Jędrzejewic. Wysadzana poczwórnym szeregiem stuletnich kasztanów, tworzących po bokach drogi — duże równoległe, cieniste ścieżki, (środek których skrzętne ciotka Benisia poustawiała ławki) — szła aż do samej bramy wjazdowej.

Droga ta, zwana królewską — nie łącząc się z parkiem — ciągnęła się na kilka wiorst aż do szosy, z której zbaczała; a sięgając czasów Stanisława Augusta — figurowała w legendarnych tradycjach rodzinnych.

Dzień był gorący. Słońce złotem lustrem odbijało ich wydłużone na piasku cienie, po których stąpali. Śród krzewów uwijały się całe stada białych motyli. Ptaszki, świergocąc, zdawały się rzucać sobie wzajemnie wciąż też samą lakoniczną uwagę:

— Tiu! Gorąco!

— Tiu! Gorąco!

Dokoła roztaczał się silny, upajający zapach świeżo skoszonego siana i miłych lubinów. I naraz, pod wpływem tych czarów natury, a głównie w transie, w jaki wprowadza obecność ukochanej, tem bliższej nam, im mniej ją znamy, Romkowi dusza naocześnie się otworzyła...

I popłynęły z niej jakieś niedyskretne skargi i ukrywany smutek. Niezabliźnione rany w myślach nagich, bluźnierczych, zwolnionych naraz z szablonów zwykłej obłudnej mowy — rozkrwawiły się:

— Dusi mnie ta cała uprząż życia, te chomąta, uzdy, kagańce, jakie nakładają nam od kolebki do mogiły. I męczy mnie ta cała przestarzała tandeta zwyczajów, despotyz-

mu tego, co wypada a co nie wypada, przeciw któremu buntuje się krytycyzm i indywidualne pojęcia o złem i dobrem. I cierpisz w tej nierównej walce tak długo, aż — znękany, bezsilny, z połamaniem skrzydłami — padasz z zamarłą duszą w tej klatce, w którą cię wepchnęli, a którą następnie w nagrodę za twą ugody potulność — wyłocą ci. I co mi po tej złotej trumnie, w której dusza moja będzie trupem!

Przypominał czynione mu wy-mówki matki, iż zbyt mało podziałała na niego wiadomość o śmierci ojca, którym on, nie znając go, pogardzał; nie mógł mu darować, że porzucił go dzieckiem, jak szczeniaka, i matkę dla konkubinatu z jakąś uwiedzioną dziewczyną.

— Kazali mi studiować medycynę, której nienawidzę. I w nagrodę za moją pracę wstrząsam się po każdym dobrze zdanym egzaminie, który zbliża mnie do tych kajdanów, nakładanych na siebie do końca życia.

— A jednak rzecz postanowiona — buntował się dziecinnie — ja lekarzem stanowczo nie będę — argumentował dalej dowodami, których nie śmiał wyjawiać matce. — Rodzice od ust sobie odejmują, aby dzieci wychować „na ludzi“. I zamęczają je tą swoją pedagogią, polegającą na wiecznym świdrowaniu im w mózgach: „Pamiętaj, bądź człowiekiem“. A być człowiekiem — nie znaczy u nich, kochać swój zawód, swoją ojczyznę, swoje ideały, ludzkość całą. Być człowiekiem — znaczy w ich pojęciu — zarabiać byle jak (oby bez kryminału) — jaknajwięcej pieniędzy; wszystko jedno, na co się je wyda, aby się je tylko posiadało. Reszta — głupstwo. Nie uczą ani oszczędności, ani ładu życiowego, ani filantropii. I kiedy ci synowie „stali się już ludźmi“, wyrzucają pieniądze w błoto; na karty, wino, aktorki, lub na bezmyślne żony. I wloką swoje marne dni, w pogoni za złotem, bez ideałów, bez ukochania nawet swego zawodu, z jedynym kultem arriwizmu — nęceni, jak dzicy, złotem i guzikami, rzucaniem następnie przez okno; z jedynym smutnem zadowoleniem, że rodzice w grobie muszą się cieszyć, widząc, jaką w życiu zrobili „karyerę“.

— A ja nie cierpię kuropatew, które się przykrzą; a chleb nigdy. I nienawidzę pieniędzy — buntował się z młodzieńczą dumą — i pogardzam wszystkim, co można dostać za pieniądze. — Umilkł, dotknięty, iż z powodu jego ubóstwa Jędrzejewice nie przyjęły go tak, jak należało.

A wśród tej nagłej ciszy, jaką zapanała pomiędzy nimi — zawisły

naigłówniejsze jego niewypowiedziane protesty:

Młodzieniec bez stanowiska, bez bytu i bez przyszłości nie powinien kochać się w panience z przyzwoitego domu, z dobrej rodziny.

— Moralność epok i narodów wobec potęgi wiecznego życia — wygląda, jak ceremoniały i mody prowincjonalnych miasteczek.

Żałował, że nie mógł zacytować jej przykładu, iż w Honolulu każdy mąż uważa za najwyższą zniewagę, jeżeli przejezdny gość nie chce korzystać z ofiarowanych mu gościn nie łask gospodarskiej żony. A w starym Egipcie królom nie wolno było żenić się z nikim innym, jeno z rodzone siostrami! Oto wyrocznie czasowych prawd i etyki! Bo na zegarze wieczności — stulecia równają się sekundom.

I naraz Romek usłyszał wśród śmiechu bawiących się dzieci i świergotu ptactwa jej głos, który wydał się oczadzonemu ciszą wsi, zapa-chem skoszonego siana i łąbinów — jakimś świętym głosem, nie z tej ziemi; a wzruszył go tak, że wdzięczny za tę bajeczną muzykę — miał ochotę klęknąć u jej stóp i całować skraj jej białej sukienki.

Aż sam się zadziwił tego ogromu uczucia, jakie w nim wzbudziła w ciągu tak krótkiego czasu.

— Cud, cud! — powtarzał w myślach upojony.

A słowa jej były tak proste, jak wszystko, co szczere, co wzniosłe, co święte; jak prosta jest ewangelia, jak prości są dobrzy ludzie; jakimi prawdopodobnie są też aniołowie w niebie.

— Dlaczegoż pożądać wiecznie osobistego szczęścia i wyciągać do tej uludy wiecznie głodne ramiona? Czyż nie jest stokroć piękniejsze — zadowolenie z dobrego spełnienia obowiązków, nieanalizowanych, lecz tradycyjnych? Radość ze szczęścia bliskich jest tem większa, tem egoistyczniejsza, o ile my sami przyczyniliśmy się do niej. Niestety! Nie żyje się jedynie nawet tego rodzaju radościami!

— Pani w życiu wiele cierpiałaś? — modlił się do niej, jak do świętej.

— Tak, cierpiałam bardzo wiele z powodu nieszczęść nie swoich — poczęła maskować popelnioną niedyskrecję zwierzeń, które mi się zdradziła. — Miałam... przyjaciółkę, uginającą się pod ciężarem krzywd, większych, niż znosić była w stanie. Nie mogłam jej być w niczem pomocną. Lecz wiedziała, że jej współczuję. Wywdzięczyła mi się oświadczeniem, że jestem jedyną osłodą jej życia. Tem zadowoleniem żyję, usi-

lując jeszcze jedynie zwalczyć w sobie złe uczucia, jakie żywię dla sprawy nieszczęść tej ukochanej. Niestety! Nie mogę panu wyjawić wszystkiego. Powiedziałam i tak już więcej, niż pragnęłam. Lecz mi pana było bardzo żal. Gromy rzuca się na życie wtedy, kiedy czuje się w sercu pustkę. Los oddzielił pana od matki. Nie masz w pobliżu kogo kochać. Dlatego pragniesz jedynie szczęścia dla siebie samego. A takiej radości na świecie niema. Szczęściem jest jedynie — pragnienie przyczynienia się do radości innych, kochanych, braci, ziomeków, bliźnich całego świata, kosztem największych osobistych ofiar całego życia. To jest szczęście. Tak, tak — zakończyła półszeptem — życie — to piękna, smutna pieśń!

Śród dnia srebrnego zachodzące słońce przetykało opalowo-błyszczące obłoki pomarańczowemi smugami. W czarownym tem oświetleniu Zosia w swojej srebrno-białej sukience, z główką ozdobioną słomą kapelusza, ukwieconego habrami, z przezroczystą twarzyczką o niebieskich żyłkach i wielkich dziwnych oczach — wydawała się Romkowi nadziemskim zjawiskiem, boginką, przebraną dla niepoznaki w modną sukienkę.

Jej słowa proste a tak wzniosłe wydawały się nieprawdopodobnemi u tak młodej dziewczyny. Miał ochotę zapytać:

— Ile panj ma lat? W jaki sposób i przez jakie cierpienia doszłaś do prawd, tak prostych a tak szczytnych i wzniosłych?

Nie czuł się godnym do otwarczenia swoich plugawych ust, które zamknęły się na cztery spusty. Gryzła wargi, a kolana ugięły się pod nią, aby klęknąć u jej nóg i rzucić jej prosto z mostu:

— Zwyciężyłaś. Oddaję ci moje życie. Odtąd moim mojem pragnieniem — widzieć cię szczęśliwą.

Ani spostrzedł, jak znikły po za opalem obłoków cytrynowo-pomarańczowe smugi słońca, a cały pejzaż dokoła przywdział zlewające się ze sobą tony zimne, matowe, martwe, o cieniach prawie granatowych.

Dalszy ciąg nastąpi.



Zmartwienia Pana Hamelbeina.

Komedia w 3-ach aktach.

6

SCENA 2.

LEŃSKI — EWA.

LEŃSKI (w drzwiach). Pani Ewa? Co się dzieje?

(W drzwiach pokazuje się pani Ewa, w płaszczu i koronce na głowie).

EWA (wzburzona). Przepraszam pana za moją natarczywość, ale grozi nam taki skandal, że musiałam z panem natychmiast pomówić.

LEŃSKI (zdziwiony). Skandal? Nam?

EWA. Mój mąż przejął list, pisany do mnie. Już pięć dni temu. Ale zdecydował się go otworzyć dopiero dziś rano. List nie był podpisany. Adam jest przekonany, że od pana. Zrobił mi straszną scenę, zabronił tu przyjść. Pan pojmuje, ja nie mogłam się na to zgodzić. Gdyby mi nie przysłała, co za plotki! Jutro całe miasto mówiłoby o tem. Więc on zagroził, że przyjdzie także i zrobić panu publiczną awanturę.

LEŃSKI (szydłszy). Ho! ho!

EWA. Ja wiem, że pan się nie boi, ale, panie Henryku, niech pan mnie ratuje! Adam może się zapomnieć, może coś powiedzieć. Pan wie, gdy mnie raz wezmą na języki... Co ujdzie księżnej Cesi, tego pani Hamelbein nie przebaczą.

LEŃSKI. Pani mu powiedziała, że ten list nie odemnie?

EWA. Powtarzałam nie wiem ile razy. Ale jak on sobie wbija gwóźdź w głowę!... (ciszej). Nie mogłam przecież powiedzieć, od kogo... Zresztą, ryzykuję się... straciłam głowę... To wszystko stało się przed godziną... Właśnie był u mnie fryzjer... (blagam). Pan jest taki mądry! Pan potrafi wybrnąć z najtrudniejszego położenia...

LEŃSKI (zamyślił się). Zaraz... (spojrzał na zegarek). Mamy pół godziny czasu... Przedewszystkiem trzeba się zabezpieczyć... (idzie do dzwonka i naciska guzik).

EWA. Co pan chce zrobić?

LEŃSKI. Niech się pani uspokoi... Zaradzimy. Jeszcze nie wiem, jak, lecz sposób musi się znaleźć (w drzwiach z prawej strony pukanie). (Ewa zaniepokojona). To służący (idzie do drzwi i uchylił je). Aleksander?

SŁUŻACY (z drzwi). Jaśnie pan dzwonił?

LEŃSKI. Słuchaj, gdyby przyszedł pan Hamelbein, to teraz, póki jesz-

cze nie ma gości, powiesz... że zostałem nagle wezwany do klubu... że wrócę o dziewiątej... że próba rozpoczęnie się dopiero o dziewiątej.

EWA (półgłosem). Miałaby przecież rozpocząć się o ósmej?

LEŃSKI (do Ewy). Nic nie szkodzi (do służącego). To wszystko. I w dalszym ciągu nikogo tu nie puszczać. Rozumiesz?

SŁUŻACY (j. w.). Słucham, jaśnie panie. Dla pana Hamelbeina przysłał właśnie od krawca ubranie.

EWA (nie dostyszała). Co takiego?

LEŃSKI (zbliżyła się do Ewy). Dla męża pani przysłał kostium... pewno ów tyrolski. Doskonale! O to tylko chodzi, żeby się spóźnić, żeby przyszedł, kiedy już będzie całe towarzystwo.

EWA. Ależ ja tego najwięcej się lękam.

LEŃSKI (odzyskał już zwykłą pewność siebie i humor). Niech się pani nie boi. Sprawa jest w moich rękach. Wyjdzie pani z tej afery, jak nowonarodzone dziecko. Śliczne dziecko! Niechno pani zdejmie okrycie... Mamy prawie pół godziny czasu (zdejmuje z niej płaszcz).

EWA. Kiedy ja nie wiem, co pan chce zrobić.

LEŃSKI (z bardzo dwuznacznym uśmiechem). Teraz? Gdy pani zdejmie okrycie?

EWA (uśmiecha się). Ależ nie... później, gdy on przyjdzie.

LEŃSKI (bierze jej rękę i całuje). Zostawić to starszemu panu. Ma pani do mnie zaufanie, czy nie?

EWA. Mam.

LEŃSKI. Więc zrobione. Niech pani siada.

(Prowadzi ją do kanapy, Ewa postrzega butelkę i kieliszki).

EWA (z uśmiechem). Przeszkodziłam panu...

LEŃSKI (swobodny). Wcale nie. Był u mnie... Karwosiński.

EWA (sceptycznie). Stary hrabia?

LEŃSKI (nie kryje się wcale, że też — z uśmiechem). Tak... Wypiliśmy po kieliszku wina. Pani się nie napije?

EWA. Dobrze. Jestem tak załadowana.

LEŃSKI. Przyniosę czysty kieliszek (idzie na prawo, przynosi kieliszek, siada obok niej, nalewa).

EWA (przez ten czas pociągnęła parę razy nozdrzami). Nie wie-

działam, że stary pan Karwosiński jest jeszcze w takich pretensjach!

LEŃSKI (nie zrozumiał). Dlaczego?

EWA. Używa bauquet du midi... Bardzo dobre perfumy (pija).

LEŃSKI (śmieje się). Pocziwy Karwosiński... chce dobrze pachnieć (wacha jej włosy koło szyi). Ale pan lepiej.

EWA (z miną). To tylko mes delices!

LEŃSKI (objął ją poufale ramieniem). Uspokoiła się?

EWA (nie broni się). Pan jest złoty i kochany. Jeśli pan mnie wyratuje, będę całe życie wdzięczna.

LEŃSKI. A nagroda?

EWA. Jakiej pan zechce.

LEŃSKI (znów niedwuznaczny). Ja wiem, jakiej chcę...

EWA (z zalotnym uśmiechem). Jest pan za dobrym, żeby chcieć tego, czego bym dać nie mogła. Zresztą... pan teraz zajęty.

LEŃSKI (patrzy jej w oczy). Sądzi pani?

EWA. Nie trudno było spostrzedz. Bardzo dobry pan ma gust. Krysia jest czarująca. Współzawodnictwo zbyt trudne.

LEŃSKI. Otwieram przed panią sposobność do stanowczego zwycięstwa.

EWA (z uśmiechem). Nie wierzę.

LEŃSKI. Jakie pani ma śliczne usta! Nigdy jeszcze nie widziałem ust, któreby budziły takie pragnienie pocałunków.

EWA (z miną). Dopiero dziś pan zauważył!

LEŃSKI. Pani wie, człowiek przechodził wieki całe koło małych kamyków nad brzegiem rzeki, potracał je nogą... i szedł dalej. Aż razu jednego kamyk zaświecił w słońcu, człowiek się pochylił, podniósł — i znalazł dyament. I oto najcenniejszy klejnot świata rozpoczął swoją karierę. Bardzo ładną nawet karierę, nieprawda?

EWA (trochę drwiąc). I pan raczyłby się tak pochylić... i podnieść? Aż do siebie!

LEŃSKI. A jak pani byłoby ze mną do twarzy! Bo już niech pani daruje, ale ten Cynamon!...

EWA (zła). Niech mi pan o nim nie wspomina! Jestem na niego wściekła. Posyłać list przez głupiego posłańca z ulicy!

LEŃSKI (ojcowsko napomina). Wogóle, moje dziecko, to pisanie listów nie ma najmniejszego sensu. Czy nie mieliście dość okazji powiedzieć sobie wszystko w cztery oczy?

EWA (nałownie). Kiedy on pisze tak ładnie!

LEŃSKI. Sztuka! Listy układa mu bardzo zdolny literat.

EWA (*wzburzona*). Jakto?

LEŃSKI. Sam biedaka posłałem Borskiemu. Mnie się ofiarowywał, ale na moje skromne potrzeby wystarczy mój własny geniusz. Zresztą ta literatura jest cokolwiek jednostronna. Zaczarowane ogrody, wieże z kości słoniowej, senne nenufary, białe pawie...

EWA (*zdumiona*). Tak... tak...

LEŃSKI. Dużo białych pawi... To już trochę przestarzałe.

EWA. Więc nawet listy... wynajmował sobie!... A nie, to już przechodzi wszelkie granice! Mam tego zupełnie dosyć!

LEŃSKI. Spodziewam się! Taką śliczną, powabną kobietą (*obejmuje ją ramieniem*). Ach, te usta!

EWA (*usuwa się z uścisku*). Dziś wszystko wali się na moją głowę... Jakiś huragan! Jestem zupełnie wytracona z równowagi... (*wobec coraz energiczniejszych zabiegów Leńskiego, bez gniewu*). Niech pan da pokój!

(*Leński nagle odsuwa się od niej. Spochmurniał, przeszedł po pokoju, siada nieco dalej, zapala w milczeniu papierosa*).

EWA (*po chwili, patrzy na niego*). Co panu jest?

LEŃSKI. Nic.

EWA. Nie chciałam panu sprawić przykrości.

LEŃSKI (*miętko*). O tem nie wątpiłem.

EWA (*zbliżyła się do niego*). Więc o co panu chodzi? (*pochyliła się nad nim i nieśmiało pogłaskała jego rzadniejące włosy*).

LEŃSKI (*po krótkiej chwili*). Może to mania... znowu w uszach ten szum liści jesiennych, które wiatr niesie... Jesień... samotność... śmierć...

EWA (*ciepło*). Nie rozumiem pana.

LEŃSKI. Pani ma ciężkie przeżycia... załamania... Pani powinna mnie łatwiej zrozumieć. A gdyby pani trafiła na podobny moment w mojem życiu? Na chwilę zwątpienia, lęku przed widmem rezygnacji... Pani nie zdaje sobie sprawy, czem jest dla człowieka, który chce żyć — rezygnacja!

EWA. Pan się jej przecież nie obawia!

LEŃSKI. Odpowiedź mogłyby mi dać panj usta! (*Patrzy prosząco w jej oczy, a nie znajdując w nich oporu, przyciąga ją i składa na jej wargach długi pocałunek*).

EWA (*wyrwała się, — bez gniewu, odurzona*). Panie!

LEŃSKI (*chce ją znowu przygarnąć*). Zjawiła się pani, jak dobra wróżka... Wraca mi pani otuchę... odwagę.

EWA (*usuwa się*). Nie... nie...

LEŃSKI (*usiłuje ją objąć*). Niedługo żadnej kobiety nie pragnąłem goręcej...

EWA. Panie Henryku! Może ktoś nadejść... (*Leński naciera dalej*). I jestem już uczesana! Chce pan? Jutro... (*nagle usłyszała przesuwanie krzesła w salonie*). Tam ktoś jest! (*gest w stronę salonu*).

LEŃSKI (*nastuchuje*). Tak... Przejdzie pani wprost do garderoby... (*wskazuje drzwi na prawo*).

EWA. Moja panna służąca pewno już czeka.

LEŃSKI (*bierze jej rękę i długo całuje, patrząc w oczy*). Więc jutro? O czwartej?

EWA (*zbiera myśli*). O piątej mam gości... To już lepiej o trzeciej.

LEŃSKI (*trzyma jej rękę*). A ja, bałwan, tyle razy przechodziłem i blasku dyamentu nie widziałem.

EWA (*wzięła płaszcz i koronkę — w drzwiach*). Czy pan aby jest pewien, że to dyament... nie szkiełko?

LEŃSKI (*nagłym ruchem całuje ją w usta*). Najpewniejszy! (*Wychodzą na prawo*).

SCENA 3.

PREZES — ANTONINA.

Przez chwilę na scenie pusto. Potem drzwi w głębi otwierają się, zagląda ostrożnie do pokoju prezes, i wchodzi, a za nim młoda osoba, bardzo ładna, okryta długim płaszczem futrzanym, podobnym do płaszcza pani Hamelbeinowej.

Prezes we fraku i w białym krawacie.

PREZES. Niema nikogo. Próba była wyraźnie oznaczona na ósmą (*spojrzał na zegarek*). Dwie minuty po ósmej.

ANTONINA (*nadyszana, — ordynarny sposób mówienia dość jaskrawo odbija od jej wdzięcznej postaci*). Wujcio zawsze i wszędzie musj zapalać lampy.

PREZES (*obejrzał się niespokojnie*). Prosiłem cię, żebyś mi tutaj mówiła: panie prezesie. Pozwoliłem ci się nazywać wujciem tylko w domu.

ANTONINA. Do chrzanu z takim weselem! I tego, co tu mieszkasz, także niema?

PREZES. Wezwany został do klubu. Zaraz wróci.

ANTONINA (*próbując foteiu*). Jak się w tem siedzi! Takie meble byłyby akurat dla mnie. Musi być fest facet, ten Leński!

PREZES (*strofuje*). Tolu! Przyrzekłaś mi zwracać uwagę na sposób wyrażania się...

ANTONINA. Przecież nikogo niema!

PREZES. Potem zapomnisz się.

ANTONINA (*obrażona*). To ma znaczyć, że nie potrafię się znaleźć w towarzystwie? Mogę sobie odrazu pójść gdzieindziej.

PREZES (*zatrzymuje ją*). Pragnąłbym, abyś zaprezentowała się jak najkorzystniej. Na przedstawieniu będzie śmietanka towarzystwa. Zwróć na ciebie uwagę. Najpewniejsza droga do teatru. Twój profesor przepowiada ci piękną przyszłość, jeśli zechcesz pracować.

ANTONINA. Zawracanie Wisły kijem! (*postrzega wino na stoliku, — z radością*). O, białe! (*bierze do rąk butelkę, przymruża oko i zagląda przez szybkę*). Jest! (*nalewa do kieliszka*).

PREZES (*troskliwie*). Czy nie za zimne?

ANTONINA (*pije*). Właśnie dlatego dobre.

PREZES (*dotknął się butelki*). Jakto można pić, takie zimne... Nic niezdrowszego dla żołądka!

ANTONINA (*filozoficznie*). Trzeba mieć zdrowy żołądek. Uf... gorąco! (*zrzuca płaszcz i pokazuje się w pięknej toalecie balowej, mocno wydekoltowanej*).

PREZES (*wpatruje się w nią z zachwytem*). Botticelli! Istny Botticelli!

ANTONINA (*z godnością*). Cóż to znowu! Nie jestem żadnym makaronem i takich dowcipów nie lubię.

PREZES (*uśmiechnął się*). Nie chciałem cię obrazić... przeciwnie! (*zbliżyła się do niej, czuły*). Czekaj... zamoczyłaś sobie winem nosk (*wyjął chustkę i troskliwie ociera jej nos, poczem z wolna nachyla się i chce ją pocałować w szyję*).

ANTONINA (*nagle*). Ktoś! *Uciek!* (*Prezes odskoczył, jak parzony*). Antonina wybucha śmiechem).

ANTONINA. Tak do rze niema! Miał wujcio zdrowego rietra.

PREZES (*udaje że go ten żart zabawił*). Myślałem, że naprawdę ktoś wszedł.

ANTONINA (*pyszcząc i nieustannie po pokoju, zbliżyła się do biurka*). Z wujcia numer! (*pochyliła się nad biurkiem*). Jakie on ma ładne kawalki! (*o prezesa, z odcieniem podziwu*). I tak wszystko na wierzchu! Że się nie boi, żeby mu kto czego buchnął! Wpuszczają każdego... (*dojrzała na ścianie obrazek, przedstawiający na gość*). Co to jest? (*zainteresowana, przystawia krzesło do stolika, który stoi pod obrazem i wskazuje na stół*). (*Z podziwem radosnym*). Wiadział wujcio? *Jej, jej!*

Dalszy ciąg nastąpi.

KRZYWDA.

NOWELA.

...Czasem, kiedy zapadał pogodny, lipcowy wieczór, obrazek ten przybierał zupełnie barwy jakiejś ponurej, średnio-wiecznej klechdy. Na ulicach bocznych latarnie gasły powoli. Grubych fałd mroku nie rozpraszało nic, tylko wązkie sierp poświaty księżycowej srebrzył oślizgłe wilgocią wykusze chłodem wiejących domostw. Wnękę kościoła Św. Marka rozświetlał krwisty ogień małej, oliwnej lampki. Pożółkłe od starości ciało Chrystusa, wiszące pośrodku wnęki, nabierało w tym blasku bolesnej martwo-ty i barwy brudnego gipsu. W czerwieni światła gineło i roztopiało się wszystko: drzewo krzyża, krata okalająca wnękę, pleśń cegieł i wianuszki spowijające podnóże krzyża. Widniał tylko Chry-stus — i ona...

Siadała zawsze u kraty, zwrócona profilem do ulicy, zapatrzona uporczywie w przekłute nogi Jezusowe... Ślizgał się po białości Ukrzyżowanego ostry profil wynędzniałej, sepiej twarzy staruszki, okolonej rzadkimi kosmykami dziwnie siwych, bo białych wprost włosów. Kiwa-jąc się w tył i naprzód, odmawiała zmę-czonym głosem jedną i tę samą litanie w kółko, bijąc się pobożnie w zapadłe piersi i szerokim gestem kładąc na czole znak krzyża. Zwykle, z początku nocny stróż lub policjant odprowadzali ją do przytulku, gdzie na drugi dzień zgłaszała się po nią rodzina. Ale te conocne spa-cery znudziły się rychło stróżom pu-blicznego bezpieczeństwa. Zważywszy na zupełny spokój i zobojętnienie, cechujące jej obłąkanie, pozwolono wreszcie staru-szce błąkać się swobodnie w dzień po ko-ściołach, a wieczorami siadywać u stóp wizerunku Chrystusa, przy kościele Św. Marka. Dużo osób ją znało. Każdy wiedział, że jest to wdowa po majstrze szewskim, pani Sałatkiwiczowa, która zwaływała po stracie jedyne go syna, zabitego na wojnie. Nie przyjmowała i nie chciała żadnego. Zresztą żywiła ją i ubierała się — uboga praczka ze Sta-rowieśnej...

Obłąkanie jej miało dwie typowe ce-chy: chorobliwą pobożność i manię opo-wiadania bajek, częścią znanych jej do-brze, częścią powstałych w chorobliwie wybujałej fantazji. Czasem mularze pracujący przy odnawianiu jakiegoś do-mu, zasiadając do południowego posiłku, mówili:

— Pani majstrowa! Co to je świat?

Siadała na kamieniu, starannie zawi-łajac się w wytartą chustkę, składając nabożnie ręce, i mówiła wolno zachryp-niętym półszepem:

— Świat, moi ludzie — to je krzy-wda... Dokółsko, gdzie nie pójść, nie pojechać a spojrzeć — wszystko to krzy-wda. A że na krzywdzie nie się spokoj-nie ostać nie może, to rucha się wszyst-ko, chodzi, jadzie, krzyczy — ciągiem bez odpoczynku — moi ludzie... no te kościo-ły Pańskie stoja spokojnie, nie zawalaja się, jak ten dom narogu, bo tylko jeden Bóg może spokojnie na krzywdzie ustać

czy usiedzieć — moi ludzie, bo je święty i bez grzechu pierworodnego — moi lu-dzie... A tu się rucha wszystko: chodzi, jadzie, krzyczy ciągiem, bez odpoczyn-ku — moi ludzie... A jak się w tem ru-chaniu spotkają, a żaden nima pokory bo-żej w piersiach i ustąpić nie chce — to je wojna. To i bożemu domkowi nie da-rują i tyż go postrzela albo i zwała, bo ich tak to markoci, że stoi sobie kościół nie z krzywdy stawiony, tylko z tył po-bożności i zadufania w Święte Imię Pańskie. To je świat — moi ludzie... A jak ostatni kościół przewrócą i na tem miej-scu krzywdę nową ustanowią, to będzie wtedy i koniec wojny i koniec świata — moi ludzie... Wiecie, to je świat? To je — krzywda — — —

I w tej beładnej, chrypliwej gadani-nie obłąkanej szewcowej tkwiła jakaś dzi-wna osmętlica, dźwięczała taka posepna, beznadziejna nuta, że jeden i drugi z pra-cujących robotników opuszczał zniechę-cony ręce i tępo patrzył przed siebie, czu-jąc, że go odeszła ochota do pracy...

A czasem chłopacy, terminatorzy, ten młody narodek, który rzadko miewa zastanowienie nad tem, co mówi, a w któ-rym jeszcze cierpienie nie rozwinęło dobroci — pytali:

— Szewcowa! A gdzie wasz synek? Na wojnie?

Jak ukąszona, kulila się dziwnie, za-wijała się w chustę i prędko odpowiada-ła, ze złością:

— Nijakiego synka nie mam, nie mia-łam i nie będę miała. Synek — ajakże... Wszystko to wymysły i bajdury tych, co mężowi za bućki nie popłacili. Jakbym miała syna, toby tu był. Ktoby mi go zabrał? Ktoby miał prawo mi go zabrać — jeżeli jabym nie pozwoliła? Ja — matka... Głupie gadanie! Jakbym miała syna — toby teraz za obstalunkami latał, wedle rozkazania...

— Pani Sałatka! A jakbyście mieli synka, dalibyście go na wojnę!? Co?

Prostowała się i cedziła powoli, z godnością:

— Od mojego pozwoleniwa toby zależało. Każę — idź. Nie każę — siedź. Są na świecie rozmaite prawa: i boskie, i cysarskie, i adwokatowe, i woi-towe. Ale największe to matki prawo! A bo mówię wam, że każda matka to się od Panienki Przenajświętszej wywodzi, a mąż tylko od świętego Józefa. Jakby jaki cysarz, co tylko je mężem, wojnę zrobił i syna mi chciał brać, to przed mo-jem niepozwolenstwem musi ustąpić, bo najwyższe moje prawo, matki prawo. Miarkuj to sobie, ciemny terminatorski narodzi, abyś się nie buntował, kiej ci matka wedle prawa swojego bez łeb zwali kopytem, a w pysk poprawi...

Wstawała, poprawiała chustkę i wy-prostowana odchodziła, zwolna wsiąka-jąc w szarą masę murów zaułka. A za nią biegł głupi, bezrozumny rehot roz-swywolonej ciemni:

— Pani szewcowa! Pani szewco-o-owa! Wzięł synka na wojnę... Wzięli...

Obłąkanie jej przybierało stopniowo inne kształty. Wracając falą zatarte w skołatanej głowie wspomnienia, układały się chaotycznymi warstwami, wiążąc ja-kieś strzępy wyblakłych obrazów, narzu-

cających się wyobraźni coraz goręcej, coraz obficie, coraz uporczywie... W dzień — wystawy sklepowe, fotografie wojskowych, widok dzieci dążących na spacer, drobiazgi, nie mające napozór nic wspólnego z sobą, nie godnego zasta-nowienia, budziły w jej duszy niepokojące drgnięcia, następujące po-sobie coraz szybszym tempem.

W nocy — gdy siedziała spokojnie na zwykłym swym miejscu, u stóp krzy-ża, przeżycia dnia wiązały się w pęk fa-któw coraz jaskrawszych...

To męczyło ją niewymownie. Wsta-wała od krzyża i wlokła się wzdłuż uspio-nych, ciemnych ulic, ściskając biedną, o-bolałą głowę oburącz, jęcząc zeicha...

Z góry, z narożnych kamienic poglą-dały na nią litościwe postacie świętych i Matki Boskiej, ukryte pod zawilgłymi wil-gocią daszkami. Godła i znaki zawiesz-o-ne nad sklepami skrzypiały nutą pełną współczucia dla tej ludzkiej niedoli, co szła, czeplając się wykuszów i występów muru, podających się naprzód dobrotli-wie...

I tak wszystko, co szare było i mar-twe napozór dniem, nocą ożywiało się nieco, dawało tej biednej istocie ludzką wprost litość, wtedy gdy miasto całe za-skorupało się we śnie i odpoczynku, nie-czułe na ten straszny smutek, przybrany w wychudłe kształty staruszki, wlokącej się po uspiionych ulicach...

Aż wreszcie rozwłócone, chaotycz-ne maniaki ukształtowały się pod cho-rą czaszką w coś złotowłosego, delikatne-go... Coś, co było małe i mówiło cichym głosem... coś, co było nawet bardzo bliz-kie i kochane...

„Kto“ to był — czy „co“ to było, pa-ni szewcowa nie pamiętała. Rozumiała tylko dobrze, że właśnie z chwilą, gdy jej tego „czegoś“ zabrakło, stała się tem, czem jest obecnie. Przyzwyczaiła się do nocnych włóczęg, modlitw i było jej z tem dobrze. Ale instynktownie czuła, że gdyby miała koło siebie tę złotowłosą zjawę o zatartych rysach, byłoby jej nie-równie lepiej i cieplej, i serdeczniej... Przeto w duszy pani szewcowej poczał rozwijać się bunt, zawzięty, zimny, nieu-blagany. Bunt, który rozpalając się co-raz silniej, objął ją całą, tak, jak ogień smolną żagiew rozżarza. I z tą zawzię-tością swoją snuła się po ulicach prędko i gorączkowo.

...Bunt — — —

Ale przeciwko komu?

Kto rozbudził w duszy tę straszną żądzę jakiegoś odwetu? Za tę długą tu-lączkę wśród bezlitosnych tłumów i współczujących kamieni — — —

Kto za to odpowie? A ktoś musi przecie...

I w zmęczonym umyśle, który pod wpływem choroby powracał do dziecin-nych pierwocin, poczęło się kształtować niezdarne przeciwstawienie owej złoto-włosej wizji:

Więc ktoś bardzo wysoki, silny, bar-czysty, bardzo czarny i bardzo głośno mówiący. Ten ktoś musi odpokutować za obnoszoną przez panią szewcową krzy-wdę. I tego człowieka musi znaleźć, choć nie wie, kim jest i gdzie się obraca. On jej odebrał złotowłose szczęście, on za krzywdę ciężko odpokutuje.

Chodziła ulicami i szukała wokół, patrzyła, badała... A litościwe przekupki z rynku dogadywały jej ciepło:

— Urwałaś się pani szewcowa? Wściekłaś się kobieto, że weszysz cięgiem, jak suka?

Tryumfującym prawie tonem, odpowiadała staruszka:

— Poczkajta, panie kochane, malusko, poczkajta — a wszystko się odmieni. Ino kogoś spotkam a pogadam, to zara mnie będzie lepiej i wam. A pogadam!... ho, ho i jak! krótko i węzłowato. Krótkie będzie moje gadanie, ale szczęście potem długie, długuscie... Oj — pogadamy — — —

— Z kim będziesz, bidna kobito, gadała — ironicznie zahuczał alt właścicieli dewocynego kramu.

— Z kim? Z krzywdą? Z moją i waszą krzywdą, panie kochane...

— Do cna zgłupiała bez te ranne upały — zamykała pogawędkę z boku maślarka.

...I wnet szeroki gest w stronę kupujących:

— Proszę ślicznie do maselka, do maselka! Nie zdąży do buzi, bo się samo po drodze ze swojej dobroci roztopi...

Słońce stawalo na środku nieba i hojnym gestem zagarniało w swoje złote królowanie pstrą cizbę kłębiącą się na rynku, rozgrzewało zielonkawe dachy dzwonnice i kościołów, a przedzierając się przez grube, pyłem zasłonięte szybki witraży, cieniutką smugą zaglądało do kościołów, całując pobożnie promieniami wykleczoną posadzkę wkrąg wielkiego ołtarza.

A każdy patrzył i uśmiechał się radośnie, i rozglądał się wokół, myśląc, że gdyby mu w nędzy życia tego słońeczka jasnego zabrakło, to wolejby zamknąć oczy, zatknąć uszy, stanąć nad brzegiem rzeki i zwalić się w nurty po łup Zapomnienia...

Rzekłbyś, że nawet te bezrozumne maleństwa, niesione przez matki lub wiezione w wózkach, rozumieją szczerą wartość tego wielkiego daru bożego, i wyciągają doń łapiny, jakgdyby chciały go objąć i w niedoleżnych, słabych ramionkach utulić...

Nie widziała tych cudowności słonecznych jedna tylko pani szewcowa, co wytrwale szła ulicami, by spotkać się oko w oko ze swoją krzywdą...

Szła prędkim krokiem, potem przystawała raptem, oglądała się na wszystkie strony i kręcąc podejrzliwie głową, znów rozpoczynała swój pochód nieustanny...

I widać Przeznaczenie chciało zakończyć prędzej mękę tej nieszczęśliwej istoty, bo pozwoliło jej nareszcie zetknąć się twarz w twarz z urojoną krzywdą.

A to było tak:

Pewnego dnia już dobrze miało się ku zachodowi. Skwar dnia zmalował i gromady ludzi, żadnych świeższego powietrza, wyległy na ulice i wypełniły je szczelnie. Pani szewcowa szła energicznym krokiem, zawzięcie rozpychając tłum. Pilno jej było obejść miasto, aby, gdy słońce zapadnie zupełnie, usiąść na zwykłym swym miejscu pod krzyżem, gwoździć odmówienia zwykłej ilości paciery, koronek i litanii. Skreśliła ku rynkowi i szła dalej. Wtem zatamował jej drogę tłum

ludzi stojących nieruchomo i obserwujących coś widać niezwykłego, bo poszept zaciekawienia szedł od człowieka do człowieka i gęstwa głów stawała się coraz większa...

Środkiem rynku szło czterech zbrojnych w karabiny żołnierzy, eskortując gromadkę jeńców, złożoną z czterdziestu ludzi... Szare to było wszystko, wychudzone i obdarte. W zagasłych oczach szklila jakaś martwota tępa i rezygnacyja obumarta. Patrzyli przed siebie szeroko rozwartymi żrenicami, wchłaniając w nie z jednaką obojętnością ludzi, domy, resztki dnia, gwar tłumy i widok wystaw sklepowych, osypanych jadem, owocami, mięsem. Jeden tylko jeńiec, idący na przedzie, napozór najwięcej miał w sobie życia. Szedł żywo, wyprostowany, rzeźki. W jednej ręce trzymał żelazny imbryk, drugą ścisłał troskliwie złom czarnego chleba, podnosząc go czasem do ust i rwąc zębami łapczywie. Pani szewcowa, nie widząc, co się dzieje, czemu tłum przystanął, przedarła się niecierpliwie na czoło gęstwy ludzkiej i oczy jej natychmiast padły na jeńca...

Był to chłop rosły, płeczysty i mimosu udręk i głodu pelen siły i życia. Wielka czarna broda opadała mu na dziurawy szynel. Blyszczące zdumieniem i podziwem oczy wędrowały po tłumie. Naj-

bliżej stojąca kobieta trzymała na ręku tłustego jasnowłosego bębna, który z całej siły ciągnął matkę za nos, gaworząc radośnie i pokrzykując. Chłop przystanął, spojrzął, czy mu się zamglili, a potem roześmiał się głośno, radośnie, dzwicznie. Ruszył dalej i oczy jego padły na wyschlą postać staruszki...

Zamarła na chwilę, odetchnęła głęboko, a potem schyliła się po kamień brukowy i nim kto zdążył przeszkodzić, kamień, wyrzucony okropną, nerwową siłą, trzasnął żołnierza w sam środek czoła...

Krótki, urwany charkot wydobył się z piersi chłopca. Rozłożył ręce i zwolna, ciężko zwałił się na bruk.

Imbryk wypadł mu z ręki i dzwicząc przeraźliwie, toczył się po kamieniach.

Jakiś otyły, szanowny starzec, w złotych okularach, dopadł pierwszy staruszki:

— Kobieto! Zwierzę!! Coś ty zrobiła? Patrz — — ty... Bierzcie ją! Policja!!

Staruszka dźwignęła głowę wyżej i szklanymi żrenicami spoglądała na miotającego się w gniewie.

— Panie... to już tak... trzeba — odpowiedziała cicho, z beznamiętnym w głosie przekonaniem...

Tadeusz Frenkiel.

Józef Conrad.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

W oczach Zachodu.

6

Gdy powóz stanął, książe szepnął do Razumowa, który nie ośmielił się zadać żadnego pytania:

— Dom generała T...

Pośrodku zaśnięzonej drogi płonęło wielkie ognisko. Kilku kozaków z przewieszioną przez ramię cuglami grzało się dokoła niego. Dwóch strażników stało przy drzwiach; żandarmi włóczyli się w podjazdowej bramie, a na pierwszym piętrze dwóch ordynansów wstało i wyprężyło się służbowo. Razumow postępował obok księcia.

Zdumiewająca obfitość cieplarnianych roślin w donicach zapełniała przedpokój. Służba wybiegła na spotkanie księcia. Zjawił się też jakiś po cywilnemu ubrany młodzieniec; książe szepnął mu parę słów, on zaś skłonił się nisko; wykrzyknął z przejęciem: „Bez wątpienia! W tej chwili“ i znikł. Książe dał znak swemu towarzyszkowi.

Przeszli kilka recepcyjnych salonów. Wszystkie były oświetlone, a jeden przygotowany do tańca. Żona generała odwołała bal. Czuło się jakiś zamęt, jakiś zgnębienie. W gabinecie generała o ciężkich, ciemnych portyerach, dwóch wielkich biurkach i głębokich fotelach światła były

przyciemnione. Lokaj zamknął drzwi za gośćmi, oni zaś czekali.

Na angielskim kominku palił się ogień z węgla; Razumow nigdy dotąd nie widział podobnego ognia. Grobowa cisza panowała w pokoju; nawet zegar stojący na kominkowym gzymsie nie cykał. W jednym kącie na czarnym postumencie stała brązowa postać biegnącego niedorosłka. Książe zauważył stłumionym głosem:

— Spontini'ego „Ucieczka Młodości“. Cudowne.

— Prześliczne! — potwierdził słabo Razumow.

Nie więcej je rzekli. Książe milczał ze swoją pańską miną; Razumow wpatrywał się w brązową statuetkę. Coś go ssalo pod piersiami; jakby uczucie głodu.

Nie odwrócił się, gdy usłyszał jakieś drzwi otwierające się w głębi i szybkie kroki, których odgłos tłumiał puszysty dywan.

I wnet rozległ się głos księcia: — *Man'y go—ce misérable!* Pewien zacny młodzieniec przyszedł do mnie... Nie. To nie do wiary.

Razumow wstrzymał oddech w piersiach, jakby w oczekiwaniu jakiegoś wybuchu. Za jego plecami,

głos obcy mu zupełnie, wymówił z uprzejmem naleganiem:

— *Asseyez — vous donc!*

Ale książę aż wrzasnął:

— *Mais comprenez vous, mon cher! L'assassin! Morderca! Mamy go —*

Razumow obrócił się. Gładkie, tłuste policzki generała opierały się o sztywny kołnierz jego mundura. Musiał już przedtem patrzeć na Razumowa, bo ten ujrzał blado-niebieskie oczy utkwione w sobie chłodno.

Książę skinął ręką z fotela.

— To jest ten najzacniejszy młodzieniec, którego sama Opatrzność... Pan Razumow.

Generał przyjął to przedstawienie ściągnięciem brwi. Razumow ani drgnął.

Usiadłszy przed biurkiem, generał słuchał w zupełnym milczeniu z zaciśniętymi ustami.

Razumow wpatrywał się w jego nieruchomy, mięsisty profil. Ale trwało to, dopóki książę nie skończył; a gdy generał zwrócił do opatrnościowego młodzieńca swą tłustą, nerwową twarz, w jego niebieskich, bladych oczach i automatycznym uśmiechu błysnęło jakieś powolne, niedbałe okrucieństwo. Nie wyraził ani zdziwienia, ani zadowolenia, ani niedowierzania. Tylko z wyszukaną grzecznością zauważył, że „ptaszek mógł wyfrunąć, podczas gdy pan Razumow biegał po mieście“.

Razumow postąpił na środek pokoju i rzekł:

— Drzwi są zamknięte, a ja mam klucz w kieszeni.

Ogarnął go szczególny wstręt do tego człowieka. Przyszło to na niego tak niespodziewanie, że nie zdążył nawet stłumić tego uczucia w dźwięku głosu. Generał popatrzył na niego z zamyśleniem, a Razumow wyszczerzył zęby.

Wszystko to działo się ponad głową księcia, który siedział w głębokim fotelu, bardzo zmęczony i zniecierpliwiony.

— Student z wiskiem Haldin — wymówił generał w zamyśleniu.

Razumow zajął się zamyśleniem.

— Tak się nazywa — rzekł niepotrzebnie podniesionym głosem. — Wiktor Wiktorowicz Haldin — student.

Generał poprawił się zlekka na krześle.

— Jak ubrany? Może pan będzie łaskaw opisać mi?

Razumow gniewnie określił ubiór Haldina kilku burkliwymi słowami. Generał wciąż się do niego wpatrywał, poczem zwrócił się do księcia.

— Nie byliśmy bez pewnych wskazówek — rzekł do francusku —

pewna kobieta, która znajdowała się wtedy na ulicy, mniej-więcej w ten sposób określiła ubiór człowieka, który rzucił drugą bombę. Zatrzymaliśmy ją w sekretaryacie i kogo tylko schwytano w czerkieskiej czamarze, przyprowadzano jej dla sprawdzenia. Lecz ona tylko zęgnęła się i trzęsła głową. To było niezdolne.

Zwrócił się do Razumowa i rzekł po rosyjsku z przyjacielską wymówką:

— Siadaj pan — panie Razumow. Dlaczego stoisz?

Razumow usiadł niedbale i patrzył na generała.

— Ten zezowaty idyota nic nie rozumie — pomyślał.

Książę zaczął mówić wyniośle:

— Pan Razumow jest młodzieńcem wielkich zdolności. Chodzi mi bardzo o to, aby jego przyszłość nie była — — —

— Bez wątpienia — przerwał generał, z lekkim poruszeniem ręki. — Czy on ma broń przy sobie — jak pan myślisz, panie Razumow?

Generał mówił łagodnym, melodyjnym głosem. Razumow odpowiedział z tłumionym rozdrażnieniem:

— Nie. Ale moje brzytwy leżą na stole — Wasza Ekscelencja rozumie.

Generał skinął głową z uznaniem.

— Właśnie.

I zwracając się do księcia, objaśniał grzecznie:

— Chcemy schwycić ptaszka żywcem. Byłoby źle, gdyby czegoś nie wyśpiewał, zanim z nim skończymy.

Grobową ciszę pokoju, w którym nawet zegar nie cykał, zapadła po wytwornych modulacjach tych słów straszliwych. Książę ukryty w fotelu milczał.

Nagle generał rzekł:

— Wierność dla ustaw, na których spoczywa bezpieczeństwo tronu i narodu, nie jest dziecinną zabawką. My to wiemy, *mon Prince* i, *tenez* — ciągnął dalej z rodzajem surowej pochwały — pan Razumow zaczyna to także rozumieć.

Oczy, które zwrócił na Razumowa, zdawały się wyskakiwać mu z orbit. Ale ten oswoił się już z wyglądem generała.

— Haldin będzie milczał — rzekł z ponurem przekonaniem.

— To się da widzieć — mruknął generał.

— Jestem tego pewny — ponościł Razumow. — Taki człowiek, jak on, milczy zawsze. Czy Wasza Ekscelencja sądzi, że mnie tu obawa przywiodła? — dodał gwałtownie. Był gotów obstawać przy tem swo-

jem przekonaniu o Haldinie do ostatka.

— Bez wątpienia, że nie — odparł generał z wielką prostotą. — I powiem panu, panie Razumow, że gdyby ów Haldin nie był przyszedł ze swoją opowieścią do takiego dzielnego, prawego rosyjanina, jakim pan jesteś, byłby wpadł, jak kamień w wodę... co byłoby fatalne dla nas — dodał z okrutnym uśmiechem. — Wiesz więc pan, że nie może być tu żadnego podejrzenia o obawę.

Książę obejrzał się w fotelu na Razumowa i wtrącił:

— Nikt nie wątpi w szczerość twoich pobudek, młodzieńcze. Bądź zupełnie spokojny w tym względzie.

Zwrócił się z pewnem zakłopotaniem do generała.

— Dlatego też tu jestem. Może cię to dziwi, że — — —

Generał przerwał spiesźnie:

— Ależ bynajmniej. To przecież całkiem proste. Ocenileś doniosłość...

— Tak — przerwał z kolei książę. — I proszę usilnie przy tej sposobności, aby ani mój, ani pana Razumowa współudział w tej sprawie nie był publikowany. To jest bardzo obiecujący młodzieniec... ogromnie zdolny.

— Nie wątpię — wyrzekł sucho generał. — Wzbudza zaufanie.

— Różne wykretnie poglądy tak się obecnie rozpowszechniły, że aczkolwiek wydaje się to potwornem, mógłby ucieść... Jego nauki... Jego...

Generał oparł łokcie na biurku i ujął głowę w obie dłonie.

— Tak... tak... Rozważam to... Kiedyś pan wyszedł z domu, panie Razumow?

Razumow wymienił godzinę odpowiadającą porze, w której uciekł, jak szalony z owej spelunki. Postanowił nie wspominać zgoła o Ziemianiczu. Wspomnieć o nim znaczyło to więzienie dla tej „jasnej duszy“, może srogą chłostę, a w końcu wędrówkę na Syberję w kajdanach. Razumow, który zbił Ziemianicza, uczuł dla niego jakąś nieokreśloną serdeczność.

Generał, dając po raz pierwszy ujście swoim tajemnym uczuciom, wykrzyknął pogardliwie:

— I powiadasz pan, że przyszedł do ciebie z tem wyznaniem tak sobie... *à propos des bottes*?

Razumow uczuł niebezpieczeństwo w powietrzu. Bezlitosna podejrzliwość despotyzmu przemówiła na koniec. Nagła trwoga zamknęła usta Razumowa. Cisza w pokoju stała się teraz podobna do ciszy głębokiego więzienia, gdzie czas nie wchodzi w rachubę i gdzie podejrzana jedno-

stka bywa czasem zapomniana na zawsze. Ale książę przyszedł mu z pomocą.

— Sama Opatrzność skierowała nikczemnika w chwili jakiegoś umysłowego obłądzenia do pana Razumowa, na zasadzie dawnych, zgola fałszywie zrozumianych wymian poglądów, jakichś teoretycznych rozmów... z przed wielu miesięcy, o których pan Razumow zupełnie zapominał.

— Panie Razumow — spytał generał po krótkim milczeniu — czy pan często prowadzi teoretyczne rozmowy?

— Nie, Ekscelencyo — odpowiedział Razumow chłodno, w nagłym przypływie pewności siebie. — Jestem człowiekiem głębokich przekonań. Krańcowe poglądy krążą w powietrzu. Nie zawsze są warte zwalczania... Ale nawet milczące lekceważenie poważnego umysłu może być mylnie zrozumiane przez zagranych utopistów.

Generał, wciąż trzymając głowę w dłoniach, wpatrzył się w Razumowa. Książę K. szepnął:

— Poważnie myślący młodzieniec. *Un esprit supérieur...*

— Widzę to, *mon cher Prince* — rzekł generał. — Pan Razumow może być zupełnie spokojny. Zainteresował mnie. Widać, że posiada wielki i pożyteczny dar budzenia zaufania. To mnie tylko dziwiło, czemu tamten wspominał wogóle o czemkolwiek — mam na myśli sam fakt — jeżeli mu chodziło jedynie o kilkogodzinny przytułek. Boć, nic nie było łatwiejszego, jak przemilczeć o tem, o ile, oczywiście, nie próbował, zapoznając pańskie prawdziwe przekonania, uzyskać pańska pomoc. Co, panie Razumow?

Razumow uczuł, że posadzka ugięła się pod nim. Ten otyły mężczyzna w obcisłym mundurze był strasznym. I takim mu być należało.

— Rozumiem, co Wasza Ekscelencya ma na myśli. Ale mogę tylko to odpowiedzieć, że nie wiem dla czego.

— Nic nie mam na myśli — szepnął generał z łagodnym zdziwieniem.

— Wpadłem; wpadłem bez ratunku — pomyślał Razumow.

Wszystkie doznane tego dnia przykrości, zmęczenie, obawa, której nie mógł poskromić, rozbudziły w nim na nowo nienawiść względem Haldina.

— Nie mogę dopomóc tu Waszej Ekscelencyi. Nie wiem, co miał na myśli. Wiem tylko, że była chwila, kiedy chciałem go zabić. Była także chwila, kiedy sam sobie życzy-

łem śmierci. Nic nie rzekłem. Byłem oszołomiony. Nie wywoływałem zwierzeń. Nie pytałem o wyjaśnienia.

Razumow mówił, jak człowiek, który stracił wszelkie panowanie nad sobą; ale myślał wciąż jasno i trzeźwo. Był to istotnie dobrze obrachowany wybuch.

— Wielka szkoda — rzekł generał — żeś pan nie pytał. Nie wiesz pan przynajmniej, co on zamierza uczynić?

Razumow uspokoił się momentalnie. Ujrzał otwierające się przed nim wyjście.

— Powiedział mi, że spodziewa się, iż jakieś sanki będą go czekać o wpół do pierwszej w nocy koło siódmej latarni z lewej strony górnego końca Karabelnej. W każdym razie miał się tam znaleźć o tej porze. Nie poprosił mnie nawet o inne ubranie.

— Ah, *voilà!* — rzekł generał do księcia K. z zadowoleniem. — Oto sposób, w jaki protegowany twój pan Razumow może znaleźć się zupełnie po za tem aresztowaniem. Będziemy czekali na tego pana na Karabelnej.

Dalszy ciąg nastąpi.



Z literatury.

Czerwone wyłogi.

Kawalerzysta z pułku imię pana Beliny, p. Jerzy Godziemba-Sosnkowski, wydał cykl szkiców i obrazków wojennych p. t. „Czerwone Wyłogi” i poświęcił te swoje wspomnienia „Kolegom i towarzyszom podoficerom i szeregowcom 3 plutonu 1 szwadronu i 1-go pułku ułanów Beliny”. Obrazki te, to żywa kronika walk legionowych. Znajdujemy w zbioru barwne wrażenia p. t. „W Lublinie”, sentymentalną opowieść o żołnierskiej kłaczce „Bezbidlerce”, najciekawszą jednak jest notatka pod tytułem „Magik”. Prosta obserwacja a jak tragiczna. Polak, nie umiejący mówić po polsku, barajter, magik, cyrkowiec, zwabiony wojną i sławą pułku Beliny, zapisuje się w kadry kawalerii polskiej. Wojna przypominała temu kosmopolitycznemu cyrkowcowi, że jest polakiem. Opowiadania p. Sosnkowskiego nie wyróżniają się literackim opracowaniem, pociągają raczej dzięki prawdzie realnej, jaka w nich jest zawarta. Kto interesuje się naszą kawalerją, znajdzie w tych opowiadaniach wiele ciekawych motywów. Czyta się je zajmująco i łatwo.

Nowe kompozycje.

W liczbie dziesięciu numerów ukazała się seryja kompozycji, składających się z następujących tytułów: Etiuda, Nokturn, Menuet, Marzenie, O świecie, O zachodzie, Dwie Kolysanki, Dwa Mazurki, Marsz Skautów i Walc Majowy. Utwory powyższe, jako należące do salonowej beletrystyki, wyróżniają się melodyjnością oraz opracowaniem nie szablonowym, nie pozbawionem dowcipu harmonicznego, a przytem mają cenną zaletę, t. j. swojski charakter; są zarazem wdzięczne i dostępne, co wyraźnie zaznacza się: w Marszu Skautów, Mazurkach, Marzeniu, Nokturnie i Walcu Majowym.

Kwartalnik prawa cywilnego i handlowego.

Wyszedł zeszyt czwarty kwartalnika prawa cywilnego i handlowego. Znajdujemy w nim rozprawę p. E. St. Rappaporta p. t. „Bankructwo w ustawodawstwie nowoczesnem na tle porównawczem. Przyczynek do reformy ustawodawstwa w Polsce”. Rzecz ta pod względem opracowania tematu przedstawia się bardzo poważnie i powinna być wzięta pod rozwagę przy naszych przyszłych pracach ustawodawczych. Bardzo ciekawą kartkę z przeszłości naszej wydostał z archiwów p. J. J. Litauer. Nieznana jest zupełnie okoliczność, że za rządów Paskiewicza szykowano się w Petersburgu do zamiany kodeksu cywilnego napoleońskiego na wypracowany przez komisję pod wodzą Sperańskiego nowy „zbiornik praw”. W komisji tej brały udział wybitne siły polskie, jak R. Hube, Zaborowski, Cichorski. Do zamiany ustawy nie przyszło tylko dzięki współzawodnictwu Paskiewicza ze Sperańskim, no i dzięki krytyce, jakiej doznał ten petersburski owoc ze strony zainteresowanego sądownictwa polskiego. Interesująca praca p. J. J. Litauera zaciekawic może nie tylko prawników; owa w niej bowiem o rosyjskich zachach na naszą samodzielną i odpowiedzialność w dziedzinie prawodawstwa, co zresztą petersburscy działacze gorliwie przy każdej sposobności starali się w stosunku do nas praktykować. P. J. J. Litauer, ten z 1837 r. był dotychczas ogólnie znany i po raz pierwszy został źródłowo i wszechstronnie przez p. Litauera opracowany. Następnie znajdujemy pracę p. J. J. Litauera p. t. „Z powodu stulecia Prokuratorji Królestwa Polskiego”. Jest to „nieurzędywny projekt” zniesienia w r. 1831”. W przeglądzie śmiętnictwa znajdujemy omówienie p. W. Kozielskiego pracy M. Eloy „*Les droits du critique littéraire et dramatique*”. Z kolei p. Czesław Poznański bardzo spokojnie i rzeczowo wykazuje braki wartościowej pracy p. M. Mogilnickiego „Ogólne zasady prawa”. Bogata treść kwartalnika prawa cywilnego i handlowego przynosi zaszczyt redakcyi. Pismo jest pożyteczne, pouczające i dla rozwoju prawodawstwa ojczystego może mieć wielkie znaczenie.

